

MÓJ ROK 1968

Mariusz Klapper

*Dedykuję wszystkim, którzy tam byli
i wiedzą...*

Od urodzenia mieszkam w centrum Krakowa. W 1968 r. miałem 22 lata, studiowałem na IV roku Elektrotechniki i Automatyki na AGH. Bardzo wcześnie straciłem Ojca. Umarł w 1961 r., kiedy miałem 15 lat. Przed wojną ukończył z wyróżnieniem Centralną Szkołę Policji Państwowej w Mostach Wielkich, potem pracował w policji kryminalnej. Po wojnie był księgowym. Po Jego śmierci Mama musiała pójść do pracy, aby zapewnić minimum utrzymania rodzinie – mnie i mojemu starszemu o 2,5 roku bratu. Od początku studiów musiałem sam zarabiać na swoje potrzeby, bo skromne stypendium (350 zł miesięcznie) oddawałem w całości Mamie. W wolnych chwilach pracowałem więc jako korepetytor, grałem też w amatorskim zespole jazzowym na banjo – wcześniej jednak musiałem je sam sobie zrobić, bo takich instrumentów wtedy w Polsce w ogóle nie było. Interesowałem się – w sposób poważny i bardzo praktyczny – czarno-białą fotografią artystyczną. W czasie wakacji jeździłem na kolonie letnie jako wychowawca. Mama nie miała ani dość czasu, ani siły, żeby próbować nam objaśniać otaczający nas świat i tłumaczyć nam realia, w jakich wtedy żyliśmy. Dopiero po wielu latach zrozumiałem, jak bardzo zabrakło mi wtedy Ojca. Jak wielu spraw nie zdążył mi On wyjaśnić i opowiedzieć.



Autoportret – ok. 1967

Rok 1968 to schyłkowy okres reżimu Gomułki. Komunistyczna cenzura dokładnie kontrolowała wszelkie informacje pojawiające się w przestrzeni publicznej, a jedynymi źródłami, z których docierały do nas wiadomości o bieżących wydarzeniach, były gazety oraz radio – pierwszy telewizor kupiliśmy dopiero około 1972 r. Moją ówczesną wiedzę o świecie i polityce czerpałem głównie, a właściwie niemal wyłącznie, z rozmów z kolegami i znajomymi – głównie ludźmi związanymi z krakowskim światem artystycznym, spotykanymi w ówczesnym barku kawowym w podziemiach Starego Teatru przy ul. Jagiellońskiej.

W wydarzeniach marcowych nie brałem czynnego i bezpośredniego udziału. Jednak 13 marca około południa, przedziwnym zbiegiem okoliczności, znalazłem się niemal w centrum milicyjnej pacyfikacji studentów demonstrujących w okolicy Collegium Novum na Plantach. Trafiłem tam – niemal w sam środek wydarzeń, pod koniec całej akcji – jako przypadkowy przechodzień. Jak zawsze miałem przy sobie aparat fotograficzny. Widziałem milicyjne „suki” i uzbrojonych po zęby milicjantów, pierwszy raz w życiu poczułem gaz łzawiący. Obserwowałem też

bardzo wrogie wobec milicji reakcje tłumu zgromadzonego wokół zajęć. Właśnie wtedy pierwszy raz w życiu zobaczyłem w akcji władzę ludową, widziałem po raz pierwszy z bliska wozy pancerne i armatki wodne, dostrzegłem prawdziwe oblicze systemu komunistycznego. Do dzisiaj nie mogę jednak zrozumieć, dlaczego milicja wtedy przepuściła mnie tamtędy, dlaczego nie zostałem zgarnięty do milicyjnej „suki” razem z innymi aresztowanymi.

W czerwcu 1968, jak co roku, pojechałem jako wychowawca na kolonię organizowaną dla dzieci krakowskiej Wojewódzkiej Rady Narodowej w Nowym Sączu. Pod koniec czerwca odbyła się tam wieczorem rutynowa rada pedagogiczna, zakończona towarzyskim spotkaniem kadry nauczycielskiej przy kawie (alkoholu nie było żadnego). W trakcie rozmowy jedna z nauczycielek z Krakowa w bardzo niewybredny sposób zaczęła atakować środowisko studenckie i postawy studentów w okresie niedawnych wydarzeń marcowych. Było dla mnie oczywiste, że swoją „wiedzę” o tamtym czasie owa pani czerpała wyłącznie z komunistycznej propagandy oraz partyjnej indoktrynacji. Mocno mnie to zirytowało, czemu dałem wyraz, komentując owe opinie oraz próbując obecnym tam przekazać trochę swojej wiedzy. Podzieliłem się z nimi moimi bezpośrednimi obserwacjami z niedawnych zajęć oraz refleksjami na temat problemów środowiska studenckiego. Wszystko odbyło się w atmosferze ostrej dyskusji, ale z zachowaniem wszelkich norm towarzyskich.

Kilka dni później wraz z kierownikiem kolonii zostaliśmy wezwani do Kuratorium Oświaty w Nowym Sączu. Tam ustnie oświadczone mi, że zostają odwołany z kolonii i mam ją niezwłocznie opuścić. Na pytanie o powody odpowiedziano mi: „Dowie się pan w swoim czasie”. Za dni przepracowane na kolonii nie otrzymałem wynagrodzenia, a wszelkie moje późniejsze pisma i prośby o wyjaśnienia pozostały bez odpowiedzi. Wobec tego wyjechałem, żeby spędzić dalszą część wakacji u rodziny nad morzem. Do Krakowa wróciłem 16 sierpnia.

17 sierpnia wcześnie rano, około godziny 7, usłyszałem dzwonek do drzwi. Do mieszkania weszli czterej funkcjonariusze UB [właśc. SB – przyp. red.] z nakazem rewizji – trwała ona kilka godzin. Esbecy nie znaleźli niczego, co by mnie obciążało, ale zostałem przez nich zabrany na przesłuchanie do prokuratora. Prokuratura Wojewódzka w Krakowie mieściła się wtedy w pałacu Pugetów przy ul. Bohaterów Stalingradu 13-15 (obecnie ul. Starowiślna). Przesłuchiwał mnie prokurator Kazimierz Musiał, obecny był też esbek prowadzący śledztwo – nazywał się Ryszard Buczak. Prokuratora przede wszystkim interesowało, czy jestem Żydem. Wypytywał szczegółowo o rodziny mojego Ojca i mojej Mamy. Kiedy ustalił, że Żydem nie jestem, przedstawił mi zarzuty o „rozpowszechnianie fałszywych informacji wrogich i szkodzących PRL”. Było to przestępstwo z art. 22 tzw. małego kodeksu

karnego. Artykuł ten był wtedy często stosowany, nieco wcześniej na jego podstawie został skazany na dwa lata Janusz Szpotański za swoich *Cichych i Gęgaczy*. Zarzuty wobec mnie dotyczyły wyżej wspomnianej dyskusji na radzie pedagogicznej w Nowym Sączu. Prokuratura miała już wcześniej spisane zeznania wszystkich uczestników rozmowy oraz materiały śledcze SB z tym związane. Sprawę zainicjowały dwa donosy do SB na mój temat, dotyczące tamtej rozmowy. Autor jednego z nich był także studentem Wydziału Elektrotechniki AGH, po studiach wstąpił do SB, zmienił nazwisko i był z ramienia bezpieki „opiekunem” AGH.

Złożyłem wyjaśnienia, po czym zaprowadzono mnie do pokoju-poczekalni dla aresztantów. Wtedy było to ostatnie pomieszczenie na parterze, po prawej stronie od frontu budynku, okno miało okratowane. Do dziś, ilekroć przejeżdżam lub przechodzę ul. Starowiślną, spoglądam na tamto okno. Na decyzję prokuratury czekałem kilka godzin. Jak się później dowiedziałem, o moim aresztowaniu zdecydował osobiście ówczesny szef prokuratury wojewódzkiej Henryk Sołga. Ten sam, który 10 lat później ukręcił łeb śledztwu w sprawie zamordowania Staszka Pyjasa (szefem prokuratury był do 1989 r.). Wczesnym popołudniem prokurator wręczył mi tzw. sankcję, czyli oficjalny nakaz aresztowania na 3 miesiące. Areszt uzasadniono obawą o ewentualne matactwa z mojej strony, choć nie były one możliwe, bo w tamtym momencie wszystkie materiały śledztwa były już skompletowane. Był to jeden z absurdów całej sprawy, których w jej późniejszym przebiegu miałem doświadczyć znacznie więcej. Z prokuratury odwieziono mnie w konwoju do aresztu milicyjnego przy ul. Siemiradzkiego 24, miejsce odległe o około 300 m w linii prostej od mojego mieszkania. Była to sobota – wtedy wszystkie soboty były normalnymi dniami pracy. Dzień był piękny, słoneczny – środek lata.

Areszt śledczy na tyłach komendy przy ul. Siemiradzkiego 24 to ponury, betonowy budynek. Spędziłem tam niemal dwie doby – od sobotniego popołudnia do poniedziałkowego przedpołudnia – zamknięty samotnie w jednej z cel. Bez przesady mogę powiedzieć, że były to dwie najgorsze doby mojego życia. Cella była ciemna i brudna, miała około 2 m szerokości (dłońmi mogłem równocześnie dosięgnąć obydwu ścian), około 3 m długości, około 2,5 m wysokości. Nieco ponad połowę powierzchni celi zajmowała niska pozioma betonowa półka, będąca miejscem do spania. Małe okno wysoko pod sufitem było całkowicie zasłonięte matowymi szybami. Z zewnątrz do celi dostawało się niewiele światła. W bocznej ścianie, w małej zakratowanej wnęce, paliła się stale 20-watowa żarówka. W kącie blaszany „kibel” z pokrywą, na betonowym łóżku dwa koce. Gdy wszedłem, odebrano mi pasek, sznurowadła i wszystkie rzeczy osobiste. Szok przejścia z jasnego, słonecznego lata do tamtego betonowego grobowca pamiętam do dzisiaj. Pobyt tam przypominał koszmarny sen. Straciłem poczucie upływu czasu, a świat

zewnątrzny stał się nagle obcy i nieosiągalny. Tamte wydarzenia przyśniły mi się później tylko raz w życiu – w pierwszych dniach stanu wojennego w 1981 r.

<p>Wzrost 1,70 m</p> <p>Sign. akt. <u>II.1.10. 25/68</u></p> <p>POSTANOWIENIE o tymczasowym aresztowaniu</p> <p>Dnia <u>17 sierpnia 1968</u> r.</p> <p>Prokurator <u>wojewódzki</u> w <u>Kielcach</u></p> <p>postanowił zastosować wobec <u>Mariusza KLAPKA</u></p> <p>osoba <u>Heinholda</u>, ur. dnia <u>29 lipca 1946</u> r. <u>Kielce</u></p> <p>jako środek zapobiegający areszt tymczasowy.</p> <p>Areszt tymczasowy będzie uchylony, jeżeli w terminie do dnia <u>17 września 68</u> r. nie nastąpi wniesienie aktu oskarżenia, lub przedłużenie aresztu.</p> <p>Uzasadnienie</p> <p><u>Mariusz KLAPKA</u></p> <p>jest podejrzany o popełnienie przestępstwa przewidzianego w art. 25 ust. 1 pkt 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10, 11, 12, 13, 14, 15, 16, 17, 18, 19, 20, 21, 22, 23, 24, 25, 26, 27, 28, 29, 30, 31, 32, 33, 34, 35, 36, 37, 38, 39, 40, 41, 42, 43, 44, 45, 46, 47, 48, 49, 50, 51, 52, 53, 54, 55, 56, 57, 58, 59, 60, 61, 62, 63, 64, 65, 66, 67, 68, 69, 70, 71, 72, 73, 74, 75, 76, 77, 78, 79, 80, 81, 82, 83, 84, 85, 86, 87, 88, 89, 90, 91, 92, 93, 94, 95, 96, 97, 98, 99, 100, 101, 102, 103, 104, 105, 106, 107, 108, 109, 110, 111, 112, 113, 114, 115, 116, 117, 118, 119, 120, 121, 122, 123, 124, 125, 126, 127, 128, 129, 130, 131, 132, 133, 134, 135, 136, 137, 138, 139, 140, 141, 142, 143, 144, 145, 146, 147, 148, 149, 150, 151, 152, 153, 154, 155, 156, 157, 158, 159, 160, 161, 162, 163, 164, 165, 166, 167, 168, 169, 170, 171, 172, 173, 174, 175, 176, 177, 178, 179, 180, 181, 182, 183, 184, 185, 186, 187, 188, 189, 190, 191, 192, 193, 194, 195, 196, 197, 198, 199, 200, 201, 202, 203, 204, 205, 206, 207, 208, 209, 210, 211, 212, 213, 214, 215, 216, 217, 218, 219, 220, 221, 222, 223, 224, 225, 226, 227, 228, 229, 230, 231, 232, 233, 234, 235, 236, 237, 238, 239, 240, 241, 242, 243, 244, 245, 246, 247, 248, 249, 250, 251, 252, 253, 254, 255, 256, 257, 258, 259, 260, 261, 262, 263, 264, 265, 266, 267, 268, 269, 270, 271, 272, 273, 274, 275, 276, 277, 278, 279, 280, 281, 282, 283, 284, 285, 286, 287, 288, 289, 290, 291, 292, 293, 294, 295, 296, 297, 298, 299, 300, 301, 302, 303, 304, 305, 306, 307, 308, 309, 310, 311, 312, 313, 314, 315, 316, 317, 318, 319, 320, 321, 322, 323, 324, 325, 326, 327, 328, 329, 330, 331, 332, 333, 334, 335, 336, 337, 338, 339, 340, 341, 342, 343, 344, 345, 346, 347, 348, 349, 350, 351, 352, 353, 354, 355, 356, 357, 358, 359, 360, 361, 362, 363, 364, 365, 366, 367, 368, 369, 370, 371, 372, 373, 374, 375, 376, 377, 378, 379, 380, 381, 382, 383, 384, 385, 386, 387, 388, 389, 390, 391, 392, 393, 394, 395, 396, 397, 398, 399, 400, 401, 402, 403, 404, 405, 406, 407, 408, 409, 410, 411, 412, 413, 414, 415, 416, 417, 418, 419, 420, 421, 422, 423, 424, 425, 426, 427, 428, 429, 430, 431, 432, 433, 434, 435, 436, 437, 438, 439, 440, 441, 442, 443, 444, 445, 446, 447, 448, 449, 450, 451, 452, 453, 454, 455, 456, 457, 458, 459, 460, 461, 462, 463, 464, 465, 466, 467, 468, 469, 470, 471, 472, 473, 474, 475, 476, 477, 478, 479, 480, 481, 482, 483, 484, 485, 486, 487, 488, 489, 490, 491, 492, 493, 494, 495, 496, 497, 498, 499, 500, 501, 502, 503, 504, 505, 506, 507, 508, 509, 510, 511, 512, 513, 514, 515, 516, 517, 518, 519, 520, 521, 522, 523, 524, 525, 526, 527, 528, 529, 530, 531, 532, 533, 534, 535, 536, 537, 538, 539, 540, 541, 542, 543, 544, 545, 546, 547, 548, 549, 550, 551, 552, 553, 554, 555, 556, 557, 558, 559, 560, 561, 562, 563, 564, 565, 566, 567, 568, 569, 570, 571, 572, 573, 574, 575, 576, 577, 578, 579, 580, 581, 582, 583, 584, 585, 586, 587, 588, 589, 590, 591, 592, 593, 594, 595, 596, 597, 598, 599, 600, 601, 602, 603, 604, 605, 606, 607, 608, 609, 610, 611, 612, 613, 614, 615, 616, 617, 618, 619, 620, 621, 622, 623, 624, 625, 626, 627, 628, 629, 630, 631, 632, 633, 634, 635, 636, 637, 638, 639, 640, 641, 642, 643, 644, 645, 646, 647, 648, 649, 650, 651, 652, 653, 654, 655, 656, 657, 658, 659, 660, 661, 662, 663, 664, 665, 666, 667, 668, 669, 670, 671, 672, 673, 674, 675, 676, 677, 678, 679, 680, 681, 682, 683, 684, 685, 686, 687, 688, 689, 690, 691, 692, 693, 694, 695, 696, 697, 698, 699, 700, 701, 702, 703, 704, 705, 706, 707, 708, 709, 710, 711, 712, 713, 714, 715, 716, 717, 718, 719, 720, 721, 722, 723, 724, 725, 726, 727, 728, 729, 730, 731, 732, 733, 734, 735, 736, 737, 738, 739, 740, 741, 742, 743, 744, 745, 746, 747, 748, 749, 750, 751, 752, 753, 754, 755, 756, 757, 758, 759, 760, 761, 762, 763, 764, 765, 766, 767, 768, 769, 770, 771, 772, 773, 774, 775, 776, 777, 778, 779, 780, 781, 782, 783, 784, 785, 786, 787, 788, 789, 790, 791, 792, 793, 794, 795, 796, 797, 798, 799, 800, 801, 802, 803, 804, 805, 806, 807, 808, 809, 810, 811, 812, 813, 814, 815, 816, 817, 818, 819, 820, 821, 822, 823, 824, 825, 826, 827, 828, 829, 830, 831, 832, 833, 834, 835, 836, 837, 838, 839, 840, 841, 842, 843, 844, 845, 846, 847, 848, 849, 850, 851, 852, 853, 854, 855, 856, 857, 858, 859, 860, 861, 862, 863, 864, 865, 866, 867, 868, 869, 870, 871, 872, 873, 874, 875, 876, 877, 878, 879, 880, 881, 882, 883, 884, 885, 886, 887, 888, 889, 890, 891, 892, 893, 894, 895, 896, 897, 898, 899, 900, 901, 902, 903, 904, 905, 906, 907, 908, 909, 910, 911, 912, 913, 914, 915, 916, 917, 918, 919, 920, 921, 922, 923, 924, 925, 926, 927, 928, 929, 930, 931, 932, 933, 934, 935, 936, 937, 938, 939, 940, 941, 942, 943, 944, 945, 946, 947, 948, 949, 950, 951, 952, 953, 954, 955, 956, 957, 958, 959, 960, 961, 962, 963, 964, 965, 966, 967, 968, 969, 970, 971, 972, 973, 974, 975, 976, 977, 978, 979, 980, 981, 982, 983, 984, 985, 986, 987, 988, 989, 990, 991, 992, 993, 994, 995, 996, 997, 998, 999, 1000.</p>	<p>Zastosowanie aresztu tymczasowego uzasadnione jest przepisem art. 152 § 1 lit. <u>a i c</u> k. p. k. gdyż <u>zadania immediate obaw, że podejrzanym</u></p> <p><u>byłoby nakierował do zabójstwa</u> <u>osoby lub</u> <u>byłoby się starał w inny sposób utrudnić</u> <u>postępowanie karne oraz byłby stwarzał społeczne</u> <u>niebezpieczeństwo ogółu społeczeństwa</u></p> <p><u>podjętym jest znaczący w związku z tym</u> <u>postępowanie.</u></p> <p>Na powyższe postanowienie służy zażalenie, które można wnieść do Prokuratora Generalnego – <u>Wojewódzkiego</u> w <u>Kielcach</u> za pośrednictwem Prokuratora Wojewódzkiego – <u>Postępowanie</u> w <u>Kielcach</u> w każdym stadium sprawy.</p> <p>Prokurator <u>Kielce</u></p> <p>*) Niepotrzebne skreślić.</p>
--	---

Postanowienie o tymczasowym aresztowaniu – 17 VIII 1968

W poniedziałek 19 sierpnia przed południem mój śledczy esbek odebrał mnie z aresztu i zaprowadził do biura Komendy MO przy ul. Siemiradzkiego, gdzie pobrano mi odciski palców i zrobiono fotografie do kartoteki przestępców. Tamte zdjęcia zobaczyłem dopiero w 2009 r., kiedy IPN udostępnił mi akta mojej sprawy. Tak jak przypuszczałem, na tych fotografiach widać na mojej twarzy całe te dwie doby spędzone w celi aresztu. Zwłaszcza w moich oczach. Z komendy przetransportowano mnie do więzienia przy ul. Montelupich. Tam najpierw trafiłem na tzw. kwarantannę, to znaczy do celi, w której przetrzymywano nowo przybyłych więźniów – zapewne by zapobiegać przenoszeniu epidemii. Były tam tylko piętrowe łóżka bez materacy i pościeli, drewniany stół i taborety. Nowo przybyli więźniowie zazwyczaj byli przetrzymywani na kwarantannie kilka dni. Ku mojemu – i współwięźniów z celi – zaskoczeniu z kwarantanny zabrano mnie na oddział zaledwie po kilku godzinach. Komunizm nie uznawał w ogóle kategorii więźnia politycznego, więc od początku podlegałem normalnym rygorom stosowanym wobec więźniów karnych. Jak jednak potem wielokrotnie tego doświadczałem, byłem w więzieniu traktowany szczególnie. Między innymi bardzo starannie izolowano mnie od kontaktów z więźniami spoza cel, w których przebywałem.

Na Montelupich trafiłem na Oddział II, w którym przetrzymywano więźniów „w śledztwie”. Były tam cele trzyosobowe o wymiarach 2,5 na 4 m, wysokie na 3 m. Połowę celi zajmowały trzyosobowe łóżka piętrowe. Oprócz tego był w niej drewniany stół, trzy taborety i niewielka szafka na podręczne rzeczy więźniów. W górze niewielkie okratowane okno, całkowicie zasłonięte pancernymi, matowymi szybami (tzw. blindą). W kącie celi, odgradzona jedynie niską przesłoną (o wysokości około 80 cm), znajdowała się muszla toaletowa z sedesem. Nad nią znajdował się kran, który służył do splukiwania urządzenia. W czasie korzystania z toalety kran był odkręcany, aby w muszli cały czas płynęła woda, której szum z jednej strony zagłuszał odgłosy właściwe miejscu, a z drugiej strony zapobiegał rozchodzeniu się w celi powstających zapachów. Ze względu na ów charakterystyczny szum ciekącej wody całe to miejsce w grypserze (gwarze więziennej) nazywane było bardachą. Oczywiście nie było szans na jakąkolwiek intymność podczas wykonywania czynności związanych z tym miejscem. Największą karą i wyrazem pogardy dla współwięźnia było wtedy sadzanie go na owej bardasze przy posiłkach. Więźniom zabierano sznurówki, paski i rzeczy osobiste, pozostawiano tylko minimum przedmiotów niezbędnych do codziennego życia. Kilka razy w tygodniu strażnicy robili w celi gruntowną rewizję, nazywaną przez więźniów kipiszem. Apel poranny odbywał się o godzinie 6, a wieczorny - o 20. Po nim więźniowie wystawiali na korytarz poza celę buty i zewnętrzne ubrania, tzw. kostkę. Na noc w celi pozostawali jedynie w bieliźnie. Trzy razy dziennie otrzymywaliśmy posiłki: czarny chleb, gorzką czarną kawę, margarynę, czasem odrobinę marmolady. Na „obiad” regularnie dawano najgorsze gatunkowo podroby (płuca, nerki itp.). Osadzeni, którzy mieli zdeponowane w więzieniu własne pieniądze, mogli raz w tygodniu korzystać z tzw. wypiski, czyli zakupu w więziennej kantynie ściśle reglamentowanych dodatkowych artykułów (cebuli, pomidorów, serków topionych, smalcu, pasty do zębów, mydła, papierosów itp.). Artykuły sprzedawane więźniom w kantynie z reguły były wycofane z rynku jako przeterminowane. Wypiska była jednym z ważnych przywilejów, których więźniowie bywali pozbawiani za jakiegokolwiek naruszenie regulaminu.

Na Montelupich zrozumiałem, skąd wzięło się określenie „siedzieć”. Zgodnie z obowiązującym wtedy regulaminem więźniowi w ciągu dnia nie wolno było położyć się na łóżku. Groziła za to surowa kara, tzw. twarde łoże (w gwarze więziennej zwane tygrysową), czyli pobyt w ciasnej, nieogrzewanej i pustej celi tylko z łóżkiem z desek, bez pościeli i okrycia. W ciągu dnia więzień mógł więc w celi jedynie siedzieć na taborecie albo spacerować w bardzo ograniczonej przestrzeni. W każdej z cel był tylko głośnik, tzw. kołchożnik. Nie było żadnej prasy. Raz w tygodniu można było pożyczyć książkę z więziennej biblioteki, bardzo ubogiej

tematycznie. Prawo do korespondencji było ściśle reglamentowane, a w przypadku tzw. więźniów śledczych decydował o nim prokurator. Każdy list wysyłany i dostarczany był w więzieniu ściśle cenzurowany. Monotonia i ubóstwo codziennego życia należały do najcięższych dolegliwości, jakich wtedy doświadczałem.

Na Montelupich, pomimo tak trudnych warunków, nauczyłem się od współwięźniów kilku umiejętności niezwykle w tamtych warunkach pożytecznych, np. krojenia wszystkiego łyżką - noże i ostrza były w celi surowo zabronione. Jak zobaczyłem, więźniowie potrafili w tamtych okolicznościach nawet ugotować w celi potrawki z pomidorów i cebuli w taki sposób, żeby strażnik (czyli „klawisz”) niczego nie zauważył, nie poczuł żadnego zapachu ani nie znalazł jakichkolwiek śladów owego gotowania. Ot, taka specyfika ówczesnego życia więziennego...



Fotografia z kartoteki milicyjnej – 16 VIII 1968

Na trzeci dzień po moim aresztowaniu wojska Układu Warszawskiego rozpoczęły inwazję na Czechosłowację. Fakt ten oczywiście wpłynął niekorzystnie na przebieg mojej sprawy i znacznie pogorszył moją sytuację jako oskarżonego o przestępstwa polityczne. Do zamiarów władz wobec mojej osoby - w sposób oczywisty czysto represyjnych - doszły bowiem dodatkowe względy prewencji politycznej.

Jak wcześniej wspomniałem, śledztwo w mojej sprawie prowadził oficer SB (wtedy chyba porucznik) Ryszard Buczak. On mnie zabrał z prokuratury na Starowiślniej, on nadzorował wciąganie mnie do kartotek przestępców na Siemiradzkiego, on także kilkakrotnie przesłuchiwał mnie na Montelupich. Protokoły i raporty z jego „prac” otrzymałem niedawno z archiwów IPN. Śledczy próbował wobec mnie stosować rutynowe esbeckie sztuczki, ale nie posuwał się nigdy do przemocy ani krzyków. Jego zawołowane propozycje współpracy stanowczo

odrzucałem, a on na nie zbyt nie nalegał. Kilka razy przyszedł do mnie na Montelupich prokurator Musiał. W więzieniu wręczono mi oficjalny akt oskarżenia, a sprawę, ze względu na miejsce „przestępstwa”, skierowano do Sądu Powiatowego w Nowym Sączu. Adwokata dopuszczono do mnie bardzo późno, bo na początku października, kiedy akt oskarżenia wobec mnie był już gotowy. Nigdy nie udostępniono mi pełnych materiałów śledztwa. Przebiegało ono rutynowo, esbecja nie wysilała się wobec mnie na jakieś szczególne szykany. Pamiętam jednak do dzisiaj, jak mocno wtedy mobilizowałem się wewnętrznie, aby nie pozwolić się złamać, nie zgodzić się na żadną formę współpracy, nie sypać nikogo. W tamtym czasie i w tamtych warunkach nie było to łatwe. W każdej z trzyosobowych cel śledczych na Oddziale II zakładu karnego na Montelupich przebywał jeden więzień będący TW (tajnym współpracownikiem), czyli kapusiem. Na szczęście inni współwięźniowie szybko mnie o tym ostrzegli, więc nie dałem się nikomu sprowokować. Niedawno IPN udostępnił mi znalezione w archiwach donosy owych więziennych TW na mój temat. Bardzo interesująca lektura...

Jak wspominałem, prowadzący śledztwo esbek starał się wobec mnie zachowywać poprawnie, a nawet chwilami próbował udawać życzliwość. Ale z tych samych akt IPN wyczytałem, że esbecja traktowała mnie jako przestępcę całkiem serio, a nawet w 1969 r. typowała mnie na figuranta w innym śledztwie, dotyczącym produkowania i kolportażu ulotek antyradzieckich. Przez kilka dni pod koniec sierpnia siedziałem na Montelupich w jednej celi razem z Andrzejem Pańczyszynem. Aresztowano go - wraz z grupą kilku kolegów - na przełomie kwietnia i maja 1968 r. za kolportaż ulotek antypaństwowych. Wszyscy, którzy zostali aresztowani razem z nim, siedzieli w różnych celach na tym samym Oddziale II, ale władze więzienne bardzo skrupulatnie dbały, aby w żadnych okolicznościach więziennych nigdy nie mogli się oni zetknąć bezpośrednio ze sobą. Moje ułożenie w celi razem z Pańczyszynem szybko zapewne także uznano za niewskazane, gdyż po bardzo krótkim czasie przeniesiono mnie do innej celi i z nikiem z grupy Pańczyszyna już się tam nie zetknąłem. O ile pamiętam, proces tej grupy odbył się w połowie września - wszyscy dostali wyroki karne w zawieszeniu, i w związku z tym zostali zwolnieni bezpośrednio po rozprawie. Sprawa grupy Pańczyszyna była głośna - podobno wspominało o niej nawet Radio Wolna Europa - dlatego władze potraktowały ją stosunkowo łagodnie. W innych procesach, nienagłośnionych publicznie, takich jak mój, władze działały zawsze z niezwykłą bezwzględnością i surowością. Była to ogólna zasada postępowania reżimu komunistycznego wobec „przestępstw” przez władze uznawanych za groźne dla ówczesnego ustroju. Większość czasu spędzonego na Montelupich przesiedziałem wspólnie z kilkoma więźniami grupy oskarżonej o nielegalne drukowanie i kolportaż świętych obrazków.

Dolegliwości typowe dla pobytu w celach śledczych na Montelupich pogłębiała u mnie niepewność dotycząca moich dalszych losów jako studenta. Do więzienia dostarczono mi decyzję rektora AGH o zawieszeniu mnie w prawach studenta, ale miałem początkowo nadzieję, że sprawa zakończy się szybko, we wrześniu, a po rozprawie zostaną zwolniony – podobnie jak koledzy z grupy Pańczyszyna – i uda mi się jeszcze w październiku wrócić na studia. Czas jednak płynął, mijały kolejne dni września, zbliżał się początek roku akademickiego i moje nadzieje stopniowo gasły. Na początku października zrozumiałem, że na studia w tym roku już na pewno nie wrócę.

Prawo do korespondencji miałem w więzieniu ograniczone – jeden list na miesiąc. Pisałem do Mamy tyle, ile mi pozwalano, ale każdy list i tak był cenzurowany przez służbę więzienną, a kwestionowane fragmenty po prostu usuwano lub zamazywano. Podczas całego pobytu na Montelupich, niemal dwa miesiące, miałem cztery widzenia z Mamą. Odbywały się one w miejscu nazywanym w żargonie więziennym małpiarnią. Nazwa wzięła się stąd, że był to duży pusty pokój, przedzielony w środku dwoma równoległymi ścianami z metalowej siatki, odległymi od siebie o ponad metr. Z jednej strony tych siatek podchodziła osoba odwiedzająca, z drugiej przyprawiano więźnia. Podczas rozmowy trudno było powstrzymać się przed odruchowym chwytniem rękoma owych siatek – zupełnie jak małpy w zoo. Stąd zapewne to żargonowe określenie. Każde takie widzenie było wydarzeniem dramatycznym zarówno dla Mamy, jak i dla mnie. Niewiele mogliśmy sobie powiedzieć, bo między siatkami stał strażnik i kontrolował rozmowę. Ja przychodziłem tam jakby z innego świata, ale nie mogłem tego Mamie powiedzieć, bo nie chciałem Jej jeszcze bardziej martwić. Mama później mówiła mi, jak wyraźnie dostrzegała w samym moim wyglądzie skutki pobytu w więzieniu. Tamte nasze spotkania były bardzo dla nas ważne, ale też bardzo smutne.

11 października zostałem przetransportowany z Montelupich do więzienia w Nowym Sączu. Przewieziono mnie tam publicznym transportem, autobusem PKS, skutego kajdankami, pod nadzorem dwóch milicjantów konwojentów. Zgodnie z przepisami podczas przewozu byłem przez nich traktowany jak pospolity przestępca. Pamiętam wrażenie, jakie na pozostałych pasażerach autobusu robił widok mnie jako więźnia i towarzyszącej mi eskorty. Zwłaszcza rzucające w moją stronę ukradkiem spojrzenia dziewczyn naznaczone na równi obawą i dyskretną ciekawością.

Więzienie w Nowym Sączu sąsiaduje bezpośrednio z siedzibą sądu. Budynek więzienia prawdopodobnie został zaadaptowany z dawnego klasztoru, jego wnętrza miejscami przypominały trochę krakowskie więzienie św. Michała. Trafiłem tam do dużej, około 30-osobowej celi przeznaczonej dla więźniów czekających na

procesy. W tamtych czasach większość więźniów śledczych w Nowym Sączu to byli tzw. turyści, czyli ludzie aresztowani podczas próby nielegalnego przekroczenia granicy polsko-czechosłowackiej lub czechosłowacko-austriackiej. Byli oni z reguły odsyłani do polskiego więzienia – właśnie do Nowego Sącza. Szczególnie zapamiętałem jednego z nich. Był to młody, inteligentny chłopak, pochodził – o ile pamiętam – z Częstochowy, na imię miał Waldemar. Czechosłowacka straż graniczna złapała go w sierpniu na granicy z Austrią i do końca września przetrzymywała go w więzieniu. Opowiadał, że po wkroczeniu do Czechosłowacji wojsk Układu Warszawskiego tamtejsi strażnicy kilkakrotnie dotkliwie go pobili. Zapewne w ten sposób chcieli się zemścić na Polaku za inwazję. Spotkałem go w Nowym Sączu w połowie października. Pokazywał mi wtedy na swoich plecach i rękach olbrzymie fioletowe siniaki, które jeszcze wtedy miał jako „pamiątki” zostawione przez czechosłowackich zbirów. Siedzieliśmy w jednej celi kilkanaście dni i mogę powiedzieć, że się zaprzyjaźniliśmy. Potem jednak ja miałem moją rozprawę i wyrok, on miał swój proces. Rozstaliśmy się i nigdy więcej już go nie spotkałem. Ale te jego plecy, pełne „czeskich” siniaków, zapamiętałem do dzisiaj.

Z celi śledczej w Nowym Sączu zapamiętałem jeszcze jeden szczegół. Podstawą wyżywienia był tam wilgotny, czarny, razowy chleb więzienny, nazywany komiśniakiem. Miał on oczywisty wpływ na procesy trawienne więźniów. Nic zatem dziwnego, że po wieczornym apelu i zgaszeniu światła ulubioną zabawą więźniów w celach były zachowania, które wiele lat później pokazał w jednym ze swoich filmów Jerzy Hoffman w scenie z obozu wojskowego.

W celi śledczej w Nowym Sączu spędziłem niecałe dwa tygodnie. Moją rozprawę wyznaczono na 22 i 23 października, a sąd ogłosił wyrok 25 października. Z więzienia do sądu na każde posiedzenie konwojowało mnie dwóch milicjantów. Na rozprawie sędzia posadził mnie w sposób bardzo dziwny: nie po lewej stronie składu sądującego, gdzie tradycyjnie siedzą oskarżeni, lecz w pierwszym rzędzie miejsc dla publiczności. Zapewne chodziło mu o to, bym nie mógł świadkom oskarżenia patrzeć prosto w oczy. Inaczej nie umiem sobie tej decyzji wytłumaczyć. Jej skutki były dla mnie bardzo niekorzystne. W czasie rozprawy nie miałem praktycznie kontaktu z obrońcą – siedział on w miejscu właściwym dla pełnionej przez niego funkcji. Nie słyszałem też większej części tego, co mówili świadkowie, ponieważ robili to odwróceniem do mnie tyłem. Prokurator powołał dziewięć osób – wszystkich osoby obecne na owej kolonijnej radzie pedagogicznej, która zapoczątkowała całą sprawę. Dowodów materialnych w moim procesie nie było praktycznie żadnych, oskarżenie opierało się niemal wyłącznie na zeznaniach świadków. Tylko dwie osoby spośród nich zachowały się na rozprawie przyzwoicie, to znaczy nie obciążały mnie, a nawet starały się mnie bronić. Byli to

Julian Struzik i Helena Wabikowa – oboje byli kierownikami w szkołach średnich. O ile wiem, obojga spotkały z mojego powodu przykrości i represje. Ich postawa na moim procesie była dowodem, że nawet w tamtych warunkach można było zachować przyzwoitość. Dlatego warto ich tutaj wspomnieć, chociaż zapewne żadne z nich już nie żyje. Jeden świadek twierdził, że nic nie pamięta, a pozostali mocno mnie swoimi zeznaniami obciążali. Trudno mi ocenić, na ile kierowali się oni zaciętrzewieniem i byli ofiarami ideologicznej indoktrynacji, a na ile powodował nimi strach czy zwykły oportunizm. Wtedy jednak po raz pierwszy w życiu doświadczyłem, że zeznając w sądzie pod przysięgą, można kłamać na szkodę innej osoby. Próbowałem się bronić i podważać zeznania świadków, ale bezskutecznie. Była to sytuacja „słowo przeciw słowu”, a sędzia regularnie dawał wiarę świadkom obciążającym mnie, uchylając przy tym wszystkie moje pytania, które uznawał za niewygodne dla nich. W pierwszych dwóch dniach rozprawy na bocznym miejscu dla publiczności siedział i skrupulatnie robił notatki jakiś człowiek, który prawdopodobnie był obserwatorem oddelegowanym przez Komitet Wojewódzki PZPR w Krakowie (Nowy Sącz był wtedy administracyjnie w obrębie ówczesnego województwa krakowskiego). Na ogłoszeniu wyroku tego człowieka już nie było. Bardzo szybko stało się więc dla mnie jasne, że w mojej sprawie najważniejsze decyzje zapadły wcześniej i w zupełnie innym miejscu niż sąd. Prokurator w mowie końcowej podtrzymał wszystkie zarzuty o wrogą propagandę szkodliwą dla PRL i zażądał dla mnie kary jednego roku bezwzględnego więzienia. 25 października sąd ogłosił wyrok, w którym uznał mnie za winnego zarzucanych mi przestępstw przeciwko PRL i skazał mnie na 8 miesięcy bezwarunkowego więzienia. Za jedną z ważnych okoliczności obciążających sąd uznał moją wysoką inteligencję, którą rzekomo miałem przewyższać współroz mówców z kolonii. W ustnym uzasadnieniu sędzia określił ten wyrok jako „ojcowski”. Równocześnie sąd odrzucił wniosek obrońcy o zwolnienie mnie z aresztu do czasu rozpatrzenia zapowiedzianej apelacji w mojej sprawie. Moje nadzieje na powrót do domu i na studia zostały w ten sposób ostatecznie pogrzebane.

Dzisiaj, kiedy patrzę na tamte sprawy z perspektywy czasu i znajomości udostępnionych mi przez IPN akt esbeckich i śledczych, widzę, że sprawa była dla mnie znacznie groźniejsza, niż wtedy przypuszczałem. Śledztwo, proces i wyrok od początku były sterowane odgórnymi decyzjami politycznymi i miały służyć zastraszaniu środowiska studenckiego. Koledzy z uczelni opowiadali mi potem, jakim szokiem była dla nich informacja o moim aresztowaniu, a następnie wiadomość o moim wyroku. Służba Bezpieczeństwa rzeczywiście uznała mnie za groźnego wroga ustroju, zastosowała więc rutynowe procedury represyjne. Moja sprawa nie stała się głośna, więc władze zastosowały swoją sprawdzoną metodę: niewspółmiernie

dotkliwą karę, którą można zastraszyć środowisko „przestępcy”. Bardzo ciekawą i charakterystyczną ilustracją tego poglądu były dwa epizody z mojego procesu. Przez cały czas konwojowali mnie i pilnowali w czasie rozprawy ci sami dwaj milicjanci. Jeden z nich, starszy wiekiem, podczas którejś z przerw w rozprawie, kiedy siedzieliśmy w pomieszczeniu dla aresztantów, powiedział do mnie, mając na myśli świadków: „A cóż to za banda ci świadkowie”. Kiedy konwojenci odprowadzili mnie do więzienia po ogłoszeniu wyroku, na wartowni ten sam milicjant poklepał mnie po plecach i powiedział do mnie: „No, to trzymaj się, Mariusz”. Był to człowiek całkowicie mi obcy, miałem z nim do czynienia wtedy pierwszy i jedyny raz w życiu. Jego zachowanie nie było przeze mnie w żaden sposób inspirowane. Nie była to też zapewne prowokacja z jego strony, bo nie miałyby w tych okolicznościach sensu. Do dzisiaj trudno mi zrozumieć motywacje tamtego milicjanta, ale jego zachowanie bardzo wymownie świadczy o charakterze całego procesu.

Kilka dni po wyroku zostałem w więzieniu przeniesiony z oddziału śledczego na oddział karny. Od początku pobytu w więzieniach, również w Krakowie, starałem się o zgodę na podjęcie pracy. Miałem nadzieję, że pozwoli mi to złagodzić więzienną monotonię i uciążliwość. Jednak cały czas konsekwentnie takiej zgody mi odmawiano – zapewne w związku ze stosowaną wobec mnie ogólną dyspozycją izolowania od innych więźniów. Dopiero po wyroku sąd zgodził się na skierowanie mnie do pomocniczej pracy w więzieniu. Zostałem więc przeniesiony na karny oddział więźniów pracujących, a nie na ogólny blok więźniów karnych. Reżim więzienny na oddziale pracujących był tak samo surowy jak na ogólnych oddziałach karnych, ale od godziny 6 do 18 byłem razem z innymi współwięźniami wyprowadzany do pracy na terenie więzienia. Skierowano mnie do pełnienia obowiązków w pralni i łaźni. Zajmowaliśmy się tam praniem i dezynfekcją odzieży więziennej oraz obsługą łaźni – każdy z około 600 więźniów przebywających wtedy w Nowym Sączu raz w tygodniu był wyprowadzany do kąpieli. Była to ciężka praca fizyczna, ale pozwalała mi na zapomnienie o więziennej monotonii i o mojej sytuacji. W pralni była maszyna do szycia, ja umiałem na niej pracować, więc współwięźniom szylłem tam ze starych onuc woreczki na rzeczy osobiste – w gwarze więziennej nazywano taki woreczek samarą. Do dnia dzisiejszego mam taką samarę, którą uszyłem sobie wtedy w pralni więzienia w Nowym Sączu. Współwięźniowie często prosili mnie także o pomoc w pisaniu listów do rodzin i do znajomych. Nigdy za te przysługi nie brałem od nich żadnego wynagrodzenia. Być może dlatego – może także ze względu na ich wiedzę, że byłem studentem i „politycznym” – wyczuwałem często ze strony współwięźniów formę dyskretnego szacunku. W bardzo brutalnym świecie więzienia karnego – formalnie byłem przecież zwykłym więźniem karnym – było to wówczas

dla mnie pewnym ułatwieniem. Jednak zobaczyłem wtedy i poznałem całą specyfikę i bezwzględność świata więziennego. Nie było w nim miejsca na jakiegokolwiek sentymenty ani słabości, decydowały siła, brutalność i agresja. Takie rzeczy jak wulgarny język, złość, kłótnie, przemoc i kradzieże były na porządku dziennym. Dla młodego człowieka, który tak jak ja przyszedł tam z całkowicie innego świata, była to trudna lekcja życia. Nigdy nie zapomnę odgłosów z kilkunastoosobowej celi więziennej budzonej w listopadzie wczesnym świtem do pracy. Kaszel, przekleństwa, kłótnie i różnorakie dźwięki związane z poranną fizjologią kilkunastu więźniów bardzo dotkliwie przypominały mi za każdym razem, gdzie i dlaczego się znalazłem. W więzieniu w Nowym Sączu spora grupa osadzonych pracowała przy odzyskiwaniu miedzi z odpadów kablowych (Huta Głogów była wtedy dopiero w budowie, miedź była bardzo cennym surowcem). Pozostałościami z tej pracy były paski polwinitu, odcinane jako izolacja kabli. Z tych pasków więźniowie robili kolorowe plecionki, często bardzo pomysłowe. Do dzisiaj mam lustro oprawione przeze mnie w Nowym Sączu taką właśnie plecionką z kolorowych pasków. Te odpady polwinitu były wtedy, oprócz papierosów, jedną z głównych „walut” wymiany towarowej pomiędzy więźniami.

W pralni więzienia w Nowym Sączu przepracowałem cały listopad i połowę grudnia 1968 r. Powoli przygotowywałem się już na spędzenie w zakładzie karnym świąt Bożego Narodzenia, kiedy nieoczekiwanie 18 grudnia przed południem przyszedł do pralni strażnik, podszedł do mnie i powiedział: „Pakuj się, idziesz do domu”. Pamiętam, że w pierwszym odruchu odpowiedziałem mu: „Panie, jeśli to jest głupi żart, to niech pana szlag trafi”, a za takie odezwanie do strażnika można było wtedy dostać co najmniej kilka dni wspomnianego wcześniej twardego łóża. Okazało się, że strażnik nie żartował. Odprowadził mnie do celi, gdzie spakowałem swój skromny dobytek. Następnie poszedłem na wartownię, w której dostałem kartę zwolnienia z więzienia i oddano mi moje rzeczy osobiste zabrane podczas aresztowania. W południe znalazłem się wolny na ulicy przed bramą więzienia. Wtedy doświadczyłem, jak odczuwa się odzyskaną wolność. Był znowu piękny, słoneczny dzień, dość ciepły jak na połowę grudnia. Pierwszą rzeczą, jaką zrobiłem po wyjściu z więzienia, było pójście do pobliskiego zakładu fryzjerskiego, aby się ostrzyć i ogolić. Zapewne nie byłem tam pierwszym tego rodzaju klientem, bo młoda fryzjerka, strzygąc mnie, rzucała mi ukradkowe spojrzania w lustro – bardzo podobne do tych, które pamiętałem z konwoju w autobusie wiozącym mnie z Krakowa do Nowego Sącza.

Drogi powrotnej z Nowego Sącza do Krakowa nie pamiętam. Chyba jechałem znów PKS-em, ale tym razem bez konwoju. W domu Mama była jeszcze bardziej zaskoczona moim powrotem niż ja. Radości tamtego spotkania nie zapomnę

ZAKŁAD KARNY
W NOWYM SĄCZU

Dnia 18. 12. 1968 r.

pieczęć nagłówkowa

Karta zwolnienia

Ob. Klapper Mariusz
s. Reinholda w. 28. 7. 1946

został zwolniony w dniu 18. grudnia 1968.

o godz. z aresztu tymczasowego udaje się
do Krakowa ul. Spasowskiego 6/7.

Naczelnik komendant

MS/R-26
PWHDA W-wa Bema 60 zam. 3010/Wa - 600 Df. A 100 k
Drukarz Nr 1 W-wa Zam. 451/62

Karta zwolnienia z więzienia w Nowym Sączu

nigdy. Jak się potem okazało, zostałem nieoczekiwanie zwolniony z więzienia w związku z wyznaczoną na 20 grudnia rozprawą apelacyjną w mojej sprawie. Odbyła się ona w Sądzie Wojewódzkim w Krakowie (wtedy miał on siedzibę przy ul. Grodzkiej, obok kościoła św. św. Piotra i Pawła). Sąd Wojewódzki uwzględnił apelację i wyrok zmienił w ten sposób, że zasądzone w pierwszej instancji 8 miesięcy więzienia zawiesił mi na okres 2 lat. Odsiedziane już 4 miesiące zaliczył mi na poczet tej kary. Przypuszczam, że to orzeczenie sądu apelacyjnego było już wolne od presji władz, bo z udostępnionych mi w IPN akt wynika, że SB do końca nie wiedziały ani o apelacji, ani o moim wcześniejszym zwolnieniu z więzienia. Dla mnie z tego orzeczenia wynikły dwie konkretne korzyści: wcześniejsze wyjście z więzienia oraz skrócenie okresu przechowywania w urzędowym rejestrze skazanych informacji o moim wyroku skazującym. Wedle ówczesnego prawa informacja taka miała być z urzędu usuwana po upływie okresu zawieszenia. Jednak, wbrew temu obowiązującemu oficjalnie prawu, z esbeckich rejestrów moja sprawa nie została usunięta nigdy. Esbek przypomniał mi ją w lutym 1982 r. podczas „rozmowy ostrzegawczej” związanej z moją działalnością w NSZZ „Solidarność” Krakowskiej Fabryki Kabli.

Około połowy stycznia 1969 r. zrobiłem sobie fotografię – autoportret. Jest to jedno z moich ulubionych zdjęć pamiątkowych. Zawsze, kiedy na nie patrzę, widzę cię tamtych kilku miesięcy, które poprzedzały jego wykonanie.

Pod koniec stycznia 1969 r. otrzymałem pisemne wezwanie do stawienia się u rzecznika dyscyplinarnego AGH ds. studentów. Był nim wtedy ówczesny docent

Eugeniusz Wosiek. Kiedy przyszedłem do niego, nie chciał słuchać żadnych wyjaśnień, zaczął od razu na mnie wrzeszczeć i wymyślać mi w sposób wręcz szokujący. Przez całe śledztwo i więzienie nikt – ani prokurator, ani esbek śledczy, ani sędzia, ani żaden strażnik więzienny – tak mnie nie sponiewierał jak ów rzecznik dyscyplinarny AGH na tamtym „przesłuchaniu”. Wbrew klasycznej paremii prawniczej: *Ne bis in idem*¹, ów rzecznik wystosował do komisji dyscyplinarnej AGH

- 2 -

Uważa, że Polska jest gospodarczo wykorzystywana przez ZSRR i że sojusz polsko-radziecki nie przynosi krajowi korzyści /saczerpnięt z protokołu zeznań świadków na rozprawie w dniu 22 i 23.X.1968 r/. Analogicznie wypowiadali się i inni świadkowie jak A. Twardosz, H. Pęcak, J. Nirski, St. Żak, K. Szklarska, i inni, których zeznania znajdują się w aktach sądowych.

W świetle zeznań świadków wina Ob. Klappera jest bezsporna. Należy on do tej nielicznej grupy młodzieży, która wbrew oczywistym faktom neguje wielkie osiągnięcia gospodarcze, kulturalne i społeczne Polski Rzeczpospolitej Ludowej. Zapatrzony we wzory niemieckiej polityki i gospodarki nie chce widzieć ogromnego wysiłku ludzi pracy w Polsce i ich bezpośrednich osiągnięć. W ślubowaniu studenckim istnieją słowa: " Z pełnym poczuciem odpowiedzialności będę zdobywał jak najlepsze przygotowanie do przyszłej pracy dla Polski Socjalistycznej". Ob. Klapper złamał przysięgę złożoną władzom Uczelni. W tej sytuacji nie rysują się żadne potrzeby kształcenia tego typu ludzi.

Wnoszę o wymierzenie obwinionemu najwyższego wymiaru kary - wydalenia ze Szkoły.

Doc. dr inż. Eugeniusz WOSIEK

Załączniki: 3 szt.

Konkluzja wniosku dyscyplinarnego rzecznika AGH – luty 1969

w początku lutego 1969 r. wniosek dyscyplinarny, w którym m.in. tak pisał na mój temat: „Należy on do tej nielicznej grupy młodzieży, która wbrew oczywistym faktom neguje wielkie osiągnięcia gospodarcze, kulturalne i społeczne Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Zapatrzony we wzory niemieckiej polityki i gospodarki nie chce widzieć ogromnego wysiłku ludzi pracy w Polsce i ich bezpośrednich

¹ *Ne bis in idem* (łac.) – nie orzeka się dwa razy w tej samej sprawie.

osiągnąć”. W konkluzji tego rodzaju wywodów napisał: „W tej sytuacji nie rysują się żadne potrzeby kształcenia tego typu ludzi” i wnioskował o wydalenie mnie z uczelni. Komisja dyscyplinarna AGH zebrała się w mojej sprawie 20 marca. Rzecznik wnioskodawca na posiedzeniu się nie stawił. Uwzględniając całość przedstawionych przeze mnie dokumentów sprawy oraz moje informacje i wyjaśnienia, komisja orzekła „tylko” zawieszenie mnie w prawach studenta na okres jednego roku. W praktyce było to potwierdzeniem stanu faktycznego, gdyż rok akademicki 1968/69 i tak już miałem stracony. Jednak całe to postępowanie dyscyplinarne było nie tylko pogwałceniem elementarnych norm praworządności, lecz także stanowiło jaskrawy przykład skali politycznej indoktrynacji, dogmatyzmu oraz oportunistycznego panujących na AGH. Tamta sprawa zablokowała mi możliwości pozostania na uczelni i podjęcia pracy naukowej po studiach. Po 1989 r. bardzo poważnie rozważałem, czy nie zanieść ówczesnego wniosku rzecznika do Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” AGH. Eugeniusz Wosiek był już wtedy na tej uczelni profesorem. W końcu przeważyła we mnie chrześcijańska cnota wybaczenia, ale do dzisiaj nie jestem pewien, czy moja ówczesna decyzja była słuszna.

W okresie zawieszenia w prawach studenta podjąłem pracę jako robotnik transportu w spółdzielni introligatorskiej w Krakowie. Była to bardzo ciężka praca fizyczna, związana z załadunkiem i wyładunkiem surowców i towarów. Nauczyłem się wtedy niejednej ciekawej umiejętności praktycznej – na przykład jak gołymi rękami, bez pomocy żadnych narzędzi wspomagających, załadować samemu z rampy magazynowej na pakę samochodu ryzę kartonu ważącą 900 kg. Tego rodzaju umiejętności niejednokrotnie przydały mi się później w życiu.

W październiku 1969 r. wróciłem na studia. Dopiero gdy ponownie znalazłem się wśród rówieśników, zrozumiałem, jak bardzo zmieniły mnie przeżycia tamtego roku. Kiedy zostałem aresztowany, byłem przeciętnym młodym człowiekiem, wrażliwym na niesprawiedliwość i krzywdę, wierzącym w uczciwość, życzliwość i prawość ludzi. Polityka interesowała mnie w niewielkim stopniu, chciałem się uczyć, skończyć studia, grać jazz, doskonalić wiedzę i umiejętności fotograficzne, robić w życiu coś ciekawego. Czytałem Małgorzatę Hillar, Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, Bułata Okudżawę. Nie byłem aktywnym opozycjonistą, wobec ówczesnej rzeczywistości przyjmowałem postawę dużej rezerwy, czynnie angażowałem się rzadko. Nigdy nie byłem jednak sympatykiem ani tym bardziej członkiem lub współpracownikiem żadnej organizacji afirmującej tamten ustrój albo współpracującej z ówczesną władzą. Zawsze starałem się zachowywać i postępować tak, jak nauczono mnie w domu rodzinnym: uczciwie, szczerze i bez fałszu. W 1968 r. bardzo boleśnie zderzyłem się ze światem zła, niesprawiedliwości, kłamstwa, przemocy i zdrady. Poznałem osobiście bezsens, okrucieństwo

i brutalność metod ówczesnego systemu sprawowania władzy. Byłem tam, widziałem. Jednak od początku wiedziałem, że sam nie mogę ulec ani zdradzić – choć w tamtych czasach naprawdę można było się bać SB. Musiałem więc wtedy nauczyć się ogromnej twardości i odporności psychicznej. Był to dla mnie czas wielkiej próby. Myślę, że przeszedłem ją pomyślnie. Jednak od tamtego czasu już nigdy nie umiałem znaleźć w sobie tej niewinności w spojrzeniu na świat, którą wyniosłem z dzieciństwa i wczesnej młodości. Porównuję to do kryształowego naczynia. Jeśli jest czyste, nieuszkodzone, wtedy po lekkim stuknięciu wydaje piękny dźwięk. Wystarczy jednak jakakolwiek rysa, drobne pęknięcie, nawet niewidoczne, a ten dźwięk nigdy już nie będzie taki czysty i taki piękny jak wcześniej. Tak właśnie stało się ze mną. Tamten czas pozostawił we mnie głębokie pęknięcia, które na zawsze odebrało mi złudzenia, ale też nauczyło mnie walki i nieulegania złu. Patrząc na to wszystko z perspektywy półwiecza, mogę dziś napisać: „Komu przypadła młodość na tamten czas, tego on ukształtował na zawsze”. Z zachowaniem odpowiednich proporcji mogę też przywołać trawestację mojego ulubionego wiersza Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, która często przychodzi mi na myśl, kiedy wspominam rok 1968: „Do palców przymarzły struny / z cienkiego krzyku roślin / tak się do życia dorasta / jakeśmy w czasie dorosli”.

Przeżycia z roku 1968 bardzo mi się przydały w latach 1980-1981, w okresie „Solidarności”. Mocno się wtedy zaangażowałem czynnie w tamten ruch, zdobyłem wiele nowych i ciekawych doświadczeń. W stanie wojennym sporo też zapłaciłem za to swoim życiem prywatnym i zawodowym, choć szczęśliwym trafem udało mi się wtedy uniknąć więzienia. Ale to już inny temat, na inny czas oraz inną opowieść.

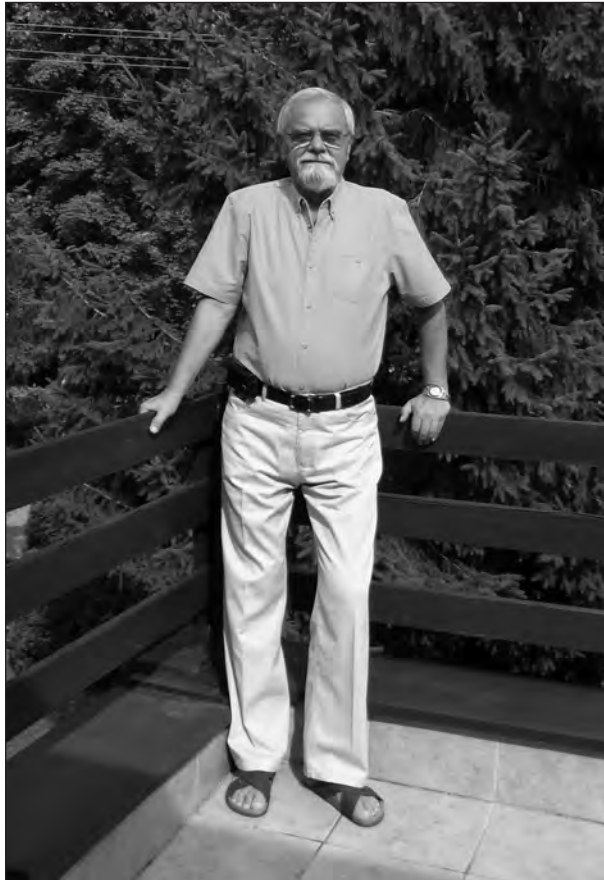
W latach 2007-2008, a potem ponownie w roku 2018, zgłosiłem w Instytucie Pamięci Narodowej wnioski o dokonanie kwerendy w archiwach SB w celu odnalezienia ewentualnych dokumentów związanych z moją sprawą z roku 1968. IPN odnalazł ich sporo, a wiele spośród nich nie było mi wcześniej znanych. Pozwoliły mi one na lepsze zrozumienie tamtych wydarzeń. Kopie dokumentów uzyskane z IPN uzupełniły moje domowe archiwum związane z rokiem 1968.

W sierpniu 2008 r. Sąd Okręgowy w Nowym Sączu na mój wniosek wydał orzeczenie, w którym unieważnił w całości wyrok sądu powiatowego z 25 października 1968 r. w mojej sprawie. W konkluzji uzasadnienia tego orzeczenia zakwalifikowano tamto moje postępowanie, oskarżenie mnie, wydany wtedy wyrok, więzienie i inne represje jako moje działania na rzecz niepodległego bytu państwa polskiego.

W lutym 2018 r. uzyskałem w Urzędzie do spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych oficjalny status osoby represjonowanej z powodów politycznych.

Przyznano mi także odznakę honorową „Za zasługi dla niepodległości 1956-1989”. Nigdy jednak nie uważałem się za kombatanta ani za osobę szczególnie zasłużoną. Po prostu próbowałem zachować się jak trzeba.

Marzec-kwiecień 2018



Autor – fotografia współczesna